



Nadzieja wywalczająca byt Ojczyzny.

Wiara utwierdza sąd rozumu o słuszności jakiejś sprawy, lecz nadzieja dopiero uzbraja dłoń i wiedzie ją do czynu.

Trudno by określić wielkość i piękność nadziei i gorąco pragnąć potrzeba, aby pośród nas, pomnożyły się te wielkie serca, pełne niebiańskiej pogody, które umieją przebić wzrokiem chmurne obłoki dni posępnych i nie tracą z oczu słońca i czystych niebiosów, a ścierając się z powszednością w codziennej walce żywota, nie zapalają się napróżno, ani na sile nie upadają, bo przewidują już naprzód wyroki przyszłości i zwycięstwo dobrej sprawy.

Dla sprawiedliwości bowiem, nic nie jest straconem; o słusznej sprawie nigdy powiedzieć nie można, że jest przepadłą. Do ostatecznej chwili i poza nią jeszcze, trzeba się spodziewać dla niej tego, czego nie spodziewają się „synowie niewiary“ — to jest, ostatniego z ust Bożych, słowa.

Gdy słowo to zabrzmie, to jakkolwiekby nisko upadła sprawa słuszności, wszystko się podnosi i zmienia postać; niespodziewane jakieś, niepojęte znaki ukazują się na widnokręgu; to, co było pewne

zwycięstwa, bezpieczne siłą, drży z trwogi i miesza się. Nadaremnie ci, którym powodziło się wczoraj, nadają sobie pozór nuje upadkiem ich potęgę, czoło i całozwraca oczy na nową jakąś postać i widzi, że *to, co niczem było*, stało się *wszystkiem*. Dzieje świata pełne są takich piorunowych zwrotów i dlatego, niepodobna sprawy jakiejś uważać za skończoną, nie doczekawszy się owego słowa z ust Bożych.

Ludzie uczeni wahają się nieraz w uznaniu owych zjawisk stanowczych, lecz prostaczkowie od pierwszego wejrzenia, pojmują je i wielbią w nich wyroki Opatrzności. Lud prostoduszny, choć miernym jest sędzią w rzeczach miernych, to jasnowidzącym się staje w sprawach wielkiej wagi.

Rozważając tę niebiańską cnotę nadziei, zapytajmy sami siebie, czy posiadamy ją w duszach?

O, czegoż nie używają w obecnych czasach, nieprzyjaciele dusz naszych, aby nam ją odebrać! Są tacy, którzy powtarzają, iż stary świat chrześcijański katolicki przepadł bezpowrotnie, że postęp czasów i wolność sumienia nie zgadzają się z wiarą naszych ojców.

Inni powiadają, iż przyszła godzina, w której już niczego od przyszłości spodziewać się nie możemy, że zbliża się tryumf i panowanie Antychrysta, że jedyna ulga duszy, to oczekiwanie końca świata; i wiele jeszcze głoszą innych rozpaczliwych twierdzeń, aby serca zwątpieniem oplątać.

Czy mimo to wszystko, zachowaliśmy nadzieję? czy wytrwaliśmy w ustawicznej dążności do uspokojenia dusz zmaconych, do zwrócenia ich ku chrześcijańskim, wolnym przekonaniom, aby w sercach naszych, które są jakby lutnie nieśmiertelne, jednozgodnie brzmiały dwie struny, tak niezbędne dla godności ludzkiego sumienia i chwały Bożej, to jest: struna wiary i wolności?

Odwagą i pracą wyjednamy zwycięstwo w tej wielkiej walce nadziei, krzepiąc się słowami, które jeden cudzoziemiec a nasz przyjaciel powiedział o Polsce: — „Niepodobna, aby ojczyzna tylu łzami okupiona, zatraconą być miała.“

Wioska rodzinna.

Wiosko moja droga,
Wiosko ukochana,
Chyba ręką Boga
Jesteś malowana.

Na twe bujne lasy,
Łąki, niwy, łąny,
Z rajskiej pewnie krasy
Pan Bóg brał swe plany.

Dzionek umalował
Słońkiem szczerozłotem,
A noc wyhaftował
Skrzących gwiazd namiotem.

Na barwne wieczory
I na ranki jasne,
Brał sobie kolory
Tęczowe i krasne.

A dla wód przejrzystych,
Strumyków, potoków,

Chwycił farb srebrzystych
Z chmur i obłoków.

Wszystkiem, co przechował
Skarbiec Jego w niebie,
Tem hojnie malował
Wiosko moja, ciebie.

Tu rajskiej pogody
Promieniste słońce,
I technienie swobody
Widmem szczęścia tętnące.

Jakże tu szeroko,
Uroczystą ciszą,
Wolno i głęboko
Piersi ludzkie dyszą!

A gdy smutny człowiek
W tęsknym płaczu żyje,
Łzę mu nieraz z powiek
Jasne słońko spije.

A wietrzyk mu zwieje
Z czoła chmurne troski,
Więc znowu się śmieje
Do uroczej wioski.

Jantek z Bugaja.

Bliżej Ciebie, mój Boże!

(Hymn grany przez orkiestrę na okręcie „Titanik“,
na chwilę przed zatonięciem tego żelaznego
olbrzyma.)

Boże spieszymy do Twych stóp
Bliżej do Ciebie!
Do Cię nas wznosi cierpienie!
I tylko brzmi pieśń:
Bliżej, mój Boże, do Ciebie
Bliżej do Ciebie!

Podobne wędrowcowi
Słońce zapada.
Ciemność naokół: Odpoczynek mój — grób.
Lecz i w sen pogrążon, dążę wciąż
Bliżej, mój Boże, do Ciebie,
Bliżej do Ciebie!

Spojrzyj, tam droga wiedzie w niebiosa...
Cokolwiekbyś zesłał,
Przyjmę pełen wdzięczności.
Aniołowie wołają mnie.
Bliżej, mój Boże, do Ciebie,
Bliżej, do Ciebie!

SKĄPIEC.

(Kartka z życia).

W staropolskiej dzielnicy w Warszawie wszyscy znali starego Macieja, znali go przekupki, siedzące na wielkim placu targowym, znaly służące, znali chłopcy, grywający dnie całe w guziki lub klipę na ulicy.

Był stróżem od lat czterdziestu, kilkakrotnie zmieniał miejsce, ale nigdy nie wyruszył za obręb Krzywego Koła. Zżył się z tymi wąskimi zaułkami; znał w nich każdy dom, każdy kamień, każdy sztyd.

Macieja szanowano ogólnie, bano się go trochę, ale nie lubiono. Nie był towarzyskim, zapraszany odmawiał, u siebie przyjmować nie chciał.

— Skąpiec, psia wiara — zaopiniowała przed laty stara Wincentowa, sklepiaczka — przydomek ten przylgnął do Macieja na zawsze.

Opowiadano niestworzone rzeczy o jego chciwości i skąpstwie, o pieniądzach, jakie musiał nagromadzić, o żonie, która umarła z głodu, zamorzona przez męża.

Do Macieja dochodziły częstokroć te pogłoski, machał wówczas ręką i mruczał:

— Pan Bóg na mnie patrzy!... a co gadają — niech ta! sumienie mam czyste.

W żadne tłumaczenia się nie wdawał gdyż wogóle był mrukiem i małowównym.

Obowiązki swoje spełniał gorliwie, pomimo podeszłego wieku — brał dwa ruble pensyi i mieszkanie, posługiwał przytem lokatorom. Wymagań nie miał żadnych, żywił się byle czem, chodził wiecznie w jednej kapocie zimą i latem. Grosza nikomu nie był winien, ale proszony o pożyczkę, odmawiał stanowczo, krzycząc gniewnie:

— A skądby u mnie wzięły się pieniądze, patrzajta ludzie; z żebraka i to skórę chcą ściągnąć?

— Skąpiec, dusigrosz... u, bodaj cię pokreśliło — kłął w takich razach niedoszły dłużnik, a Maciej najspokojniej brał miotłę i szedł zamykać podwórze.

Aż raz w mroźny ranek zimowy nie pokazał się na zwykłym stanowisku przed bramą.

Zdziwił się zastęp kucharek, spieszących na rynek, żdziwił się stójkowy, żdziwili się lokatorowie. Wreszcie pokojówka której obiecał wody nanosić do prania, zastukała do nędznej izdebki pod schodami.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, weszła. Na łóżku leżał Maciej z wypiekami na twarzy i jęczał cicho.

— Bójcie się Boga! Macieju, a co to wam?

— Dobrze, żeś zajrzała, Zuziu, a toć mi pomrzeć już przyjdzie, leć po ks. dobrodzieja.

Zuzia nie tylko zawiadomiła księdza, ale sprowadziła jednego z lokatorów, studenta medycyny.

Ten ostukał go, opukał i stwierdził zapalenie oskrzeli w połączeniu z wielkiem wycieńczeniem.

— Jeszcze macie czas na tamten świat — dodał — tylko trzeba się wzmocnić, dobre wino, posilne rosoly — to najważniejsze.

— Gdzie mnie tam takie fanaberje wyprawiać — odparł stary — jak Pan Bóg da, to i tak wyzdrowieję, a nie — wola Jego święta!

Zuzia szepnęła poufale medykowi:

— Widzi pan, to skąpiec dopiero, woli umrzeć niż grosz z pod poduszki wyciągnąć!

Po spowiedzi Maciej pocałował księdza w rękę i dowiedział zniżonym głosem:

— A to ja mam wielką prośbę do ojców duchownego...

— Mówcie... o co wam chodzi?

— Dyć chciałem spisać ostatnią wolę uciulałem tam parę groszy...

— Jeśli macie krewnych, to zabiorą...

— Krewniaki mają dość swego, a ja co inszego chęć zrobić.

— Jak chcecie, mogę posłać po znajomego rejenta...

— Bóg zapłać, Bóg zapłać...

W godzinę potem przy łożu chorego siedział siwiutki rejent z przywiezionymi przezeń, jak prawo chce, świadkami.

— Proszę pana, bo to tak — tłumaczył Maciej, podniecony gorączką, więc rozmowniejszy niż zwykle — mam tu 300 rubli, całe życie zbierałem, a teraz chęć żeby na pożytek ludziom poszło...

— Więc na co przeznaczacie tę sumę?

— A to niech podzielią na dwie części i dadzą na takie wpisy czy jak to się nazywa, żeby paru chłopaków mogło się uczyć.

Rejent spojrzał zdumiony.

— Zkąd wam to do głowy przyszło?

— Eh! ja to o tem dawno myślałem... Ho, ho! ja wiem, co to jest chcieć się uczyć, a nie mieć za co. Bo widzi pan, mój ojciec, majster stolarski, posyłał mnie do szkoły przez dwa lata, potem zbankrutował, ludzie warsztat zabrali, nie było czem płacić szkoły. Bieda była, aż strach, ojciec ręce łamał, że nie nie oszczędził, kiedy się dobrze działo; łapał się tego i owego — wreszcie został stróżem. Matka umarła, ja pomagałem ojcu. Miałem ośmnaście lat, kiedy ojca przejechała doróżka, żył jeszcze coś pół roku, aż oddał Bogu ducha. Zostałem sam, gospodarz zatrzymał mnie, nie czas było myśleć o uczeniu, a przecież coś zawsze do książek ciągnęło. Powiedziałem więc sobie, że będę odkładał pół rubla miesięcznie, a jeśli będę miał dzieci, to za te pieniądze dokończą szkoły. Oj! panie, ciężko było odkładać, boć wydatków dużo, to żona chora, to to, to owo. Od ust sobie odejmowałem aby tylko nie chybić co miesiąc. Zmarło wreszcie kobiecisko, nie przez moje skąpstwo, jak ludzie gadają, ale zawsze słabowała i chuchro z niej było. Dzieci mi nie zostawiła, ale choć nie miałem dla kogo zbierać — powiedziałem sobie: nie masz swoich, to niech ten grosz będzie dla cudzych, co uczyć się nie mają za co.

Wydziwiali, wydziwiali, przezywali dusi-groszem, a ja nie, tylko zrobiłem swoje. Brała mnie czasami chęćka pójść, pohulać, napić się, potańcować — ale odpędzałem pokusę, nie mogłem ruszyć nic, bom powiedział sobie: nie twoje, tylko chłopaka, co za te pieniądze będzie służył dobrze ludziom i Ojcu Przedwiecznemu.

Wyczerpany długą mową Maciej zakasłał się strasznie, po chwili jednak uniósł głowę z poduszek i wyszeptał:

— Niech pa! to wszystko napisze...

W godzinę potem rejent wychodził ze świadkami swymi z ubogiej izdebki stróża, unosząc oszczędności lat czterdziestu.

Wieczorem paliła się gromnica nad głową Macieja, a przerażone dzieci z całego podwórza szeptały tajemniczo:

— Skąpiec umarł!...

Jakże ludzie często z pozoru mylnie sądzą!

ZŁOTE ZIARNKA.

Przykrości są jak pigułki; trzeba je połknąć ale nie rozgryzać.

— o —

Kto siebie samego pokonał, więcej dokażał, niż gdyby obcy kraj zdobył orężem.

— o —

Gdzie grunt niestały, tam zapadnie się budowa.

— o —

Ten na miano mądrego człowieka zasługuje, Kto roztropnie swym własnym umysłem kieruje.

— o —

Coś myślą pojał, osiągniesz ramieniem, Ujrzysz na oczy, coś przeczuł natchnieniem.

— o —

Póty naród wolny, dopóki cnotą a nie złotem świeci.

Rady gospodarcze.

Przeciw mółom. Futra i wełniane rzeczy najlepiej przechowuje się w pudłach, skrzyniach i szufladach, leżąc, bo tak ułożonych nie trzeba ruszać przez całe lato. Przedtem jednak zawiesza się to wszystko na dworze i dobrze trzepie ze wszystkich stron. Skrzynię trzeba wymyć, biorąc na litr zimnej wody, łyżkę stołową terpentyny i pół łyżki zmielonego pieprzu. Po wyschnięciu, posmarować wszystkie szpary klajstrem zmieszonym także z pieprzem i zalepić paskami papieru. Na spód skrzyni położyć grubą warstwę pasków krajanych z świeżego papieru gazetowego, a na to dopiero kłaść jak najładziej futra i ciężkie wełniane ubrania lub inne rzeczy zimowe z wełny, wypełniając próżne miejsca strzępkami papieru. Zmaczawszy kilka płatków płóciennych w mieszaninie z jednej części terpentyny i dwu części okowity, powciskać je w rogi skrzyni, jedną z nich rozłożywszy na wierzchu. Zamknąwszy skrzynię, oblepić brzegi zewnętrzne, a żaden owad się tam nie wciśnie.

Inny jeszcze środek przeciw mółom jest taki: zmieszać $\frac{3}{8}$ litra okowity z 12 gramami pieprzu i dodać po 2 gramy olejków: kamforowego, gwoździkowego, bobkowego, bergmatowego i terpentynowego — i używać tej mieszaniny do zmaczania szmatek i papierów, kładzionych między rzeczy.

Środek na pchły w mieszkaniach. Na jedną kwartę wody gorącej wsypać 10 łutów ałunu i dobrze wodę zakłucić, aby się ałun zupełnie rozpuścił. Podłogę umyć starannie i spłukać potem wodą ałunową, poczem wytrzeć do sucha. Wody ałunowej trzeba przygotować taką ilość, aby wystarczyła na całą podłogę. Myć najlepiej po jednej desce i zaraz spłukiwać i wycierać dokładnie, aby nie zapuszczać wilgoci w mieszkaniach. Do mycia używać ręcznej szczotki ryżowej. Ścierka do wycierania musi być gruba, ale zupełnie miękka, aby dobrze wodę zabierała. Ału-

nu można dostać w każdej aptece. Jest to proszek niedrogi.

Ogórki. Ziemia pod ogórki potrzebna jest żyzna, obfita w nawóz przetrawiony i próchnicę, dostatecznie wilgotna. Dobrze się udają na świeżo nawożonej kompostem lub przegniłym obornikiem, z dodatkiem superfosfatu. Wystawa koniecznie słoneczna.

Z odmian najwcześniejsze i najpóźniejsze są nieżyńskie i wiaznikowskie (rosyjskie).

Na późniejsze dobre są średnio-długie zielone i litewskie, pod parkanami można z korzyścią od południa sadzić pnące się japońskie i dawać im druty lub łąty, na których się czepiają.

Wezesne otrzymuje się przez siew na zagonach, pochyłych ku południowi, namierzwionych w jesieni, siejąc nasienie w początku maja. Ponieważ jednak są bardzo czułe na przymrozki, więc trzeba je na chłodne noce nakrywać rogózkami lub matami, wpartymi na drążkach, napoprzek, nad zagonami na słupkach umocowane.

Właściwy siew przypada od połowy maja, aż do początku czerwca. Na zwykłych zagonach co 4 stopy robi się motyką rowki na cal głębokie, sieje nasiona co parę cali każde i przysypuje ziemią inspektową lub kompostową. Jeżeli powschodzą nierówno, można wyjąć z ziemią za pomocą szufelki, zbyt gęsto stojące rośliny, przesadzić tam, gdzie ich nie ma, poczem podlać je. Ogórki w rzędzie powinny znajdować się co 2 stopy, a większe odmiany nawet rzadziej.

Gdy dostaną po 3 liście, obsypujemy je ziemią i powtórzymy to w kilkanaście dni potem. Kto ma czas, dobrze zrobi, podłożywszy wtedy pod sznury ogórkowe gałązki jakiegokolwiek, bo wtedy owoce mniej leżą na ziemi i lepiej dojrzewają.

Podlewanie lubią i znoszą, ale trzeba zacząć podlewać wcześniej i nie pozwolić ziemi raz dobrze wyschnąć, bo gdy to nastąpi, a podlejemy ją, wejdą w nią zaraz dżdżowniki, a za nimi krety i podkopią nam ogórki.

Pierwsze owoce, najkształtniejsze pozostawia się na nasienniki.

Zbierać trzeba codziennie od chwili pokazania się pierwszych owoców, dostatecznie wyrośniętych, żeby inne mogły narastać po nich. Zasilenie gnojówką w słabych zwłaszcza ziemiach, służy im. Do kwaszenia trzeba zbierać, zanim nadejdą chłodne noce, od których mocno cierpią.

Rady zdrowia.

Jak chory powinien leżeć w łóżku. Chory powinien leżeć w łóżku z głową lekko uniesioną. Na poduszkach powinna opierać się nie tylko głowa, ale i ramiona. Jeżeli zaś chory ma wielką duszność, powinien leżeć w półsiedzącym położeniu. Opieramy mu wtedy głowę i plecy na poduszkach uważając przytem, aby nie przechylił się naprzód i aby nie miał pleców zgiętych. Gdy poduszek macie mało, można mu położyć na łóżku u wezgłowia krzesło w ten sposób, aby się opierało na przednim brzegu siedzenia i na górnym brzegu poręczy, nogi zaś krzesła aby były zwrócone do góry i w stronę wezgłowia. Na tylną powierzchnię poręczy krzesła trzeba położyć poduszkę.

Jeżeli trzeba poprawić chorego leżącego, to nigdy nie należy czynić tego szybko, lecz powoli i stopniowo, bo ciężko chory — przy prędkim podnoszeniu go z leżącego położenia w siedzące, — może dostać zawrotu głowy, omdlenia, a zdarzało się nawet, że bardzo wycieńczeni chorzy umierali przytem nagle. Unosić chorego należy zawsze w ten sposób, żeby rękę podłożyć pod poduszkę, na której chory leży i unieść go razem z poduszką powoli ku górze.

Jeżeli chory osłabiony potrzebuje wstać z łóżka, należy mu przytem pomódz podtrzymując go z boków. Jeżeli chory często musi siadać na pościeli, to możemy mu to ułatwić w ten sposób, że przywiązujemy mu do końca łóżka od strony nóg sznur, albo pas rzemienny z poprzecznym

drewnianym wałkiem na końcu. Chory, uchwyciwszy się za ten wałek, może się łatwo podnieść lub poprawić. Taki sznur z poprzecznym wałkiem może być również umocowany u sufitu nad łóżkiem.

Ratowanie zaczadzonych lub uduszonych przez szkodliwe gazy. Naprzód zaczadzonego lub uduszonego szkodliwymi gazami trzeba wynieść na świeże powietrze, ułożyć w chłodnym miejscu w ten sposób, aby głowa i piersi wzniesione były w górę. Potem skrapiamy twarz i piersi zimną wodą kilkakrotnie, następnie zaś oblewamy głowę zimną wodą (kwartami), dajemy wachać amoniak, chrzan, eter. Gdy to nie pomaga i chory nie wraca do przytomności, stosujemy sztuczny oddech przez podnoszenie i opuszczanie rąk, przez rytmiczne ugniatanie dolnych żeber, jak przy ratowaniu topielców.

Rozmaitości.

Żydowska przebiegłość. W Królestwie polskim mieszkał pewien obywatel, który w listopadzie 1910 r. zamówił u żyda 50 wozów słomy z ostatecznym terminem dostawy w styczniu 1911 r. Żyd terminu nie dotrzymał i przysłał dopiero w kwietniu kilka wozów słomy. Wobec tego obywatel oświadczył, że słomy przyjąć już nie może. Żyd w prośby. Mówi, że wiozł ją daleko i że nie ma z nią co robić, a gdy obywatel na to nie zważał, zaczął go błagać, aby mu pozwolił przynajmniej złożyć przywiezioną słomę za stodołą.

— Ależ ci ją rozkradną — tłumaczył obywatel.

— To już na moją odpowiedzialność, panie dziedzicu — odparł żyd.

Złożył słomę. Na drugi dzień znowu przywiózł porcję towaru, na trzeci dzień to samo i tak powoli zwiózł całe 50 wozów słomy.

Ale, jak przewidział obywatel, tak się też stało. Słomę rozkradli. Żyd robi wielki gwałt i żąda, aby mu dziedzic zapłacił. Otrzymuje naturalnie odpowiedź, że był

ostrzegany wyraźnie, że złożył słomę „na własną odpowiedzialność“. Żadne prośby i groźby handlarza nie pomogły — obywatel był nieugięty.

Cóż się jednak dzieje?

W trzy miesiące później obywatel pojechał do miasta powiatowego, o cztery mile drogi, za interesami. Idąc ulicą, zauważył, że dwóch żydków bije się po fizjonomiach. Spojrzał i przeszedł spokojnie na drugą stronę ulicy a załatwiwszy swoje sprawunki, powrócił do domu. Po kilku tygodniach otrzymuje „powiestkę“, nakazującą mu stawić się w mieście powiatowym w charakterze świadka sądowego w sprawie o pobicie. Do miasta daleko, drogi przytem fatalne, więc obywatel na sprawę się nie stawiał. Niebawem otrzymuje nowe wezwanie, donoszące mu, że jest skazany na 5 rubli kary, że stawić się ma jako świadek w drugim terminie, a jeżeli się znowu nie stawi, zapłaci 50 rubli grzywny.

Obywatel klnie siarczyście, ale trudno. Niema rady, trzeba chyba pojechać i wlec się 4 mile po błocie. Zanim jednak nadszedł dzień oznaczony, zjawia się we dworze żydek, któremu słomę skradziono i zaczyna znów błagać, aby mu dziedzic za tę słomę zapłacił. Ale dziedzic odmawia stanowczo. Wtedy żydek nagle zmienia ton, nachyla się do ucha obywatelowi i mówi:

— Ja panu dziedzicowi będę coś powiedzieć: Jak ja nie otrzymam swoje pieniądze, to w któremkolwiek miasteczku pan dziedzic się pokaże, zawsze dwóch żydków będzie się biło.

Smutne skutki miało zaćmienie słońca dla pewnej służącej w Rhedt (Nadrenia). Zaćmieniu przyglądała się w niezrozumiałej lekkomyślności owa dziewczyna gołym zupełnie okiem, około pół godziny. Wkrótce potem spostrzegła, że wzrok jej osłabł, a obecnie mimo natychmiastowej pomocy lekarzy, nieomal zupełnie oślepła. W Nadrenii i Westfalii 110 osób znajduje się z tego samego powodu w opiece lekarskiej.

Trzyniec. Dochodzą nas słuchy o roz-

dawaniu pomiędzy tamtejszą i okoliczną ludnością broszurek, nawołujących do jakiegoś Stowarzyszenia kolonizacyjnego. Członkiem tego Stowarzyszenia — o ile nam wiadomo — może być każdy obywatel, zgadzający się na jakiś program niemiecki (zapisujący się na Niemca) i składający 50 K tytułem członkostwa. W nagrodę za to wybuduje mu Stowarzyszenie dom, który odda na własność członka z zastrzeżeniem, że spłacać będzie miesięcznie oznaczoną kwotę. Baczność przed tą łapką!

Nieostrożność zbronią palną. W Witkowicach zdarzył się w jednym domu górniczym wypadek, który powinien służyć za naukę i wskazówkę wszystkim rodzicom, nieostrożnym w obchodzeniu się z dziećmi. U górnika Strnadla mieszkał najemnik Siry, który nosił rewolwer i nie ukrywał się wcale z nim. Broń tę, niedobrze ukrytą, znaleźli pod nieobecność starszych osób dwaj nieletni chłopcy gospodarza i bawili się nią. Wśród zabawy rewolwer wypalił, a ranny został trzechletni synek. Dotychczas nie wiadomo jak stało się to nieszczęście. Starszy chłopak wymawia się, że młodszy sam się postrzelił, ten zaś, ciężko chory, podaje, że wymierzył do niego rewolwerem brat starszy, a potem nie wie co dalej się stało. Nieopatrzonego właściciela rewolweru podano do sądu.

Oszust. Niejaki Juliusz K. ze Ślązka pruskiego poznał młodą dziewczynę w Szopienicach. Przedstawił się jej jako urzędnik i przyrzekł jej, że ją weźmie za żonę. Gdy dziewczyna pojechała do domu do Suchopsiny, K. jechał za nią. Tam przedstawił się jej rodzicom, powtórzył swój zamiar i opowiadał, że ma 225 mk. miesięcznej pensyi. Zamieszkał u nich przez cały miesiąc jadł i pił na koszt rodziców. Dnia 6 listopada miało się odbyć wesele. K. więc zażądał od rodziców, aby mu dali 750 mk. na zakupienie mebli. Pieniądze te otrzymał, kupił niektóre rzeczy, lecz większą część spotrzebował dla siebie. Aż pewnego dnia nagle zjawiła się żona jego, gdyż K. już był żonaty.

Lecz i teraz jeszcze nie dał za przegraną. Powiadał on, że nie zna tej kobiety i że żonaty nie jest. Dopiero gdy oszukani udali się do urzędu cywilnego, dowiedzieli się, iż rzeczywiście K. jest żonaty. Oszusta policyja już aresztowała.

Zarty.

Nie upominać się.

— Ty, Moryc kochany, pożycz mi dziesięć koron.

— Kiedy ty przecie nigdy nie oddajesz choć się upominam.

— Więc poco ty się upominasz, kiedy ty przecie wiesz, że ja nie oddaję.

Jego życie.

Icek wybrał się do lasu na przechadzkę z żoną Surą. W lesie napadł ich rzezimieszek i zawołał, chwytając Ieka za gardło: — Daj pieniądze, albo życie! — Na to Icek odrzecz: — Pieniędzy nie mam, ale że moja Sura, to jest moje życie, to niech ją pan sobie zabierze!

W hotelu.

Służący: — Oto jest pański pokój.

Gość: — A czy przynajmniej jest czysty?

Służący: — A naturalnie! *Gość:* — A pluskwy są w łóżku? *Służący:* — A gdzieżby miały być?

Znajomość.

Dwu włóczęgów idzie brzegiem ulicy; jeden pyta drugiego: — Skąd znasz tego eleganckiego pana, któremu się kłaniałeś? — Mieszkaliśmy przez lat kilka pod jednym dachem. — Jakto, on u ciebie? — Nie, ja u niego, bo to jest dyrektor więzienia.

Nie czuł.

— Więc wyciągnęli ci sakiewkę i zegarek a tyś nic nie czuł? — Nic, bo mam straszny katar.

Niech !sprobuj.

Pani Rykalska spotyka swego męża pijanym na ulicy i strofuje: — Człowieku

i ty się nie wstydzisz pokazywać na ulicy ludziom w takim stanie? — No, no, no, — bełkoce mąż, — spróbuj ty wypić szesnaście bomb piwa, a zobaczysz w jakim ty będziesz stanie!

Nie innego.

— Co to za pan tam idzie, w czarnem ubraniu? — O, to wysoko urodzony człowiek; on chodzi po największych domach. — No, to pewnie kominiarz, co urodził się na poddaszu a chodzi po dachach.

W koszarach.

— Infanterzystą Kogut, co zrobisz, jeśli ci na wojnie kula przeszyje nogę? — Melduję pokornie, panie pułkowniku: położę się.

Za długo.

Przed gmach kryminalny zajeżdża dorożka, z której wysiada elegancki pan: — Czy mam zaczekać? — pyta dorożkarz. — To wam będzie może za długo! — O, ja mam czas; a jak długo pan dobrodziej tam zostanie? — Trzy miesiące.

Zagadka.

Pierwsze — znany to spójnik, co zdania kojarzy;

Drugie — w słowa swe kładziesz, gdy mówisz o sobie;

Trzecie — ci, przed którymi bądź zawsze na straży,

Bo ci krzywdę wyrządzą i dokuczają tobie. Czwarte — oznacza zwykle godności uznanie.

O całości, — odważny najgorsze ma zdanie.

Znaczenie zagadki

zamieszczonej w nrze 3 „Niewiasty“:

Z a k a z .